

ROZDZIAŁ PIĄTY

Godziny potrafią mijać jak lata, kiedy z niecierpliwością się na coś czeka. Zwłaszcza na coś, czego pragniesz i boisz się w równym stopniu. Tym, czego pragnęłam tak silnie, że niemal boleśnie, było zobaczenie Joshuy i usłyszenie jego głosu. Mającąc i myśląc o nim, nigdy nie przypuszczałabym, że znowu będzie zdolny mnie zobaczyć i ze mną rozmawiać, a tym bardziej, że by tego chciał. Nie przewidziałam również, jak bardzo ja też bym tego chciała. Jak bardzo moje pragnienie bycia widzianą, zwłaszcza przez niego, pogłębiało się z każdą chwilą.

Ale kolejne spotkanie z nim oznaczało też powiedzenie prawdy.

Siedząc przy brzegu rzeki po odejściu Joshuy byłam pewna, że nie będę zdolna go okłamać następnego dnia. Nie, jeśli moje całkowicie niedorzeczne zachowanie na moście nie dowiodło, że potrafiłabym go oszukać. Jeśli zobaczyłabym go w parku i rozmawialibyśmy, z pewnością opowiedziałabym mu wszystko: co widziałam pod wodą i czym naprawdę byłam. Co niewątpliwie sprawiłoby, że odjechałby z dala ode mnie.

Więc nawet jeśli pójdę do parku, prawdopodobnie później już go nie zobaczę. Zakładając to, musiałam zadać sobie pytanie, co zaboli bardziej: paraliżującą samotność będąc niewidzialną, czy ból samotności przez odrzucenie ze świata żywych? Znałam już te granice i głębie wiążące się z pierwszą opcją, ale nie miałam pojęcia, jak rozdzierająca mogłaby być, i prawdopodobnie będzie, ta ostatnia. Zgodnie z tym tokiem rozumowania, podjęłam decyzję o sposobie działania następnego dnia. Nie pójdę. Ukryję się. Ochronię moje martwe serce przed czymś gorszym niż odrętwienie.

I prawdopodobnie z tego powodu będę nieszczęśliwa przez lata. Ułożyłam ręce na kolanach w przegranej pozycji.

Właśnie wtedy coś kazało mi szarpnąć głową w górę, a następnie zerwać się i przykucnąć na trawie. Na początku nie byłam pewna, co wywołało u mnie taką reakcję. Kiedy próbowałam znaleźć jakąś wskazówkę w otoczeniu, zauważyłam, że słońce już prawie zaszło, podczas kiedy ja siedziałam, użalając się nad sobą. Rzuciło teraz ognisty blask na wodę i cienie w lesie. Jednak to nie znikające światło słoneczne mnie przestraszyło. Zamiast tego było to coś, tworzące ostry kontrast z gorącym światłem zachodzącego słońca: przenikliwie zimny wiatr, smagający teraz moje gołe nogi i rozwiewający włosy.

Przeżywałam ostatnio tak wiele nieoczekiwanych doznań, że być może nie powinnam być tak niespokojna z powodu wiatru. Ale byłam.

Późne lato nie było porą na mroźne wiatry. Gorzej: nic wokół mnie nie było zmaczone przez wiatr – ani wysoka trawa na brzegu, ani też igły stojącej w pobliżu sosny. Wiatr wiał też z niewłaściwego kierunku. Nie wiał znad wody za mną, ani w dół alejki, którą rzeka wydrążyła przez las. Pochodził bezpośrednio z cienia rzucanego przez drzewa naprzeciwko mnie. Zdając sobie z tego sprawę, poczułam, że włoski na moich ramionach stanęły dęba. Nie mogłam nic poradzić na to, że uniosłam rękę, wpatrując się w gęsią skórę na niej, dziwiąc się ożywieniem mojej dawno wymarłej uciec-czy-walczyć reakcji. Beż żadnego ostrzeżenia wiatr przerodził się w wicher, chłostając moimi włosami twarz i ograniczając pole widzenia. Zatoczyłam się do tyłu, wytracona z równowagi jego siłą. Wydawał się wyć między drzewami, a moje ręce powędrowały w górę, chroniąc uszy przed tym dźwiękiem. Następnie wiatr ucichł tak samo nagle, jak się pojawił. Brzeg nadal był spokojny.

Nadal zakrywałam rękami uszy i nieświadomie zaciskałam mocno oczy. Niemal całkowicie zwinęłam się w kłębek, ściskając razem moje kolana i łokcie.

- Witaj, Amelio.

Jedwabny męski głos płynął od strony granicy lasu. Nadal pozostając zwinięta w kłębek, otworzyłam jedno oko, niedowierzając, że mogłabym słyszeć kogoś mówiącego bezpośrednio do mnie. Kogoś innego niż Joshua.

- Słyszysz mnie, Amelio?

Otworzyłam drugie oko i powoli się wyprostowałam, nadal trzymając dłonie na uszach, jakby mogło to jakoś mnie ochronić przed głosem nieznanego. Nie mogłam zmusić moich strun głosowych do pracy. Westchnął niecierpliwie, najwyraźniej czekając, aż udzielę mu odpowiedzi.

- Naprawdę, Amelio, zachowujesz się niegrzecznie.

- S-słucham? – udało mi się wybełkotać.

Właściciel głosu cmoknął z przestroga.

- Nadal niegrzecznie.

Jego głos przedarł się przez okropny mróz, który zaczął pełzać po mojej skórze. Czulałam, że rumienię się z gniewu, jakbym w ogóle mogła się zarumienić z wściekłości.

- Możesz mnie widzieć, ale ja ciebie nie. Nie uważasz, że *to* jest odrobinę niegrzeczne? – upomniałam.

Zaśmiał się. Był to gładki dźwięk, który jednak nie rozproszył uczucia pełzania na skórze.

- Och, podejrzewam, że mógłbym jakoś temu zaradzić, jeśli tak sobie życzysz.

Gałęzie drzew stojących naprzeciw mnie zatrzęsyły się, kiedy coś zza nich wypełzło. Mogłam powiedzieć, że kimkolwiek był mój rozmówca, poruszał się nieśpiesznie, możliwie po to, żeby mnie uspokoić i powstrzymać od czmychnięcia stąd. Nie była to zbyt skuteczna technika, ponieważ mogłam wyczuć skurcz w moich mięśniach, jakby przygotowujących się do ucieczki.

Jednak zanim podjęłam ostateczną decyzję o ucieczce, właściciel głosu wyszedł z mroku rzucanego przez las, ukazując się w nikłych promieniach słońca, nadal oświetlających brzeg rzeki. Od razu wiedziałam, że nie jest on istotą żywą, chociaż z początku nie byłam pewna dlaczego. Kiedy patrzyłam na niego z otwartymi ustami – kolejna czynność, którą prawdopodobnie uznałby za niegrzeczną – zauważyłam każdy szczegół w jego wyglądzie. Był mniej więcej w moim wieku, ewentualnie kilka lat starszy, ale miał na sobie dziwne, nadające mu dziki wygląd ubranie: rozpięta czarna koszula, której podwinięte rękawy odsłaniały metalowe mankiety na obu rękach, niemożliwie obcisłe dżinsy zawieszane nisko na biodrach i kilka naszyjników skupiających się razem na jego piersi. Pod włosami w kolorze popielatego blondu, opadającymi chaotycznymi lokami na ramiona, wyglądał strasznie blade. Jakby ktoś wymazał wszystkie kolory z jego twarzy.

Pomimo jego bladeści, według mnie można by go nazwać przystojnym. A nawet seksownym.

Jednak kontrast pomiędzy jego skórą, a ciemnością ujawniał jego wgląd nie z tego świata. Jego skóra była zbyt jasna, zbyt odporna na promienie zachodzącego słońca. Jaśniała własnym, niemalże niezauważalnym światłem w ciemności. Nie odbijała światła ani słońca, ani księżyca, tylko jaśniała swoją własną poświatą. Jak na czarno-białych fotografiach, które wytwarzały nieznaczny blask, postawione w środku ciemnej scenerii. Nie na miejscu i nie z tego świata, dokładnie tak samo jak ja.

- Czym jesteś? – zapytałam bezdźwięcznie.

- Sama dokładnie wiesz. Jestem taki jak ty. Lepsze pytanie, Amelio, brzmi „*Kim ja jestem?*”.

Zatrzymał się, zakładając ręce na swojej nagiej klatce piersiowej i uśmiechnął się do mnie.

Czyli miałam rację. Był duchem. Duchem, którego już na początku nie polubiłam. Wyprostowałam ramiona i uniosłam wysoko głowę.

- Dzięki, ale nie sądzę, żebym była zainteresowana.
- Zabawna z ciebie dziewczyna. Oczywiście, że jesteś zainteresowana.
- Niby dlaczego tak sądzisz?
- Ponieważ jestem pierwszą osobą twojego rodzaju, którą widzisz.

Zdławiłam w sobie chęć zaczerpnięcia głośno powietrza. Skąd mógł to wiedzieć?

Pomyślałam krótko o riposie, że nie miało to znaczenia, ponieważ z pewnością on nie był pierwszą osobą, która mnie widziała. Jednak jakiś instynkt obronny podpowiedział mi, żebym nie wspominała o Joshule. Żeby każdą myśl o nim zachować dla siebie, jeśli to możliwe.

Tamten duch był zbyt wnikliwy – zauważył moje wahanie i zmrużył oczy.

- Rozumiem, że jesteś wstrząśnięta, Amelio. Obserwowałam cię od lat, trzymając się na dystans. Nigdy mnie nie widziałaś, a ja widziałem, że nigdy nie spotkałaś kogoś naszego rodzaju. Chyba że gdzieś się wymakałaś za moimi plecami. – Uśmiechnął się, ukazując nieco wyszczerbiony przedni ząb. Efekt byłby uroczy, gdyby aż tak mnie nie przerażał.

- Ale... skąd wiesz, jak mam na imię? – zapytałam.

- Cóż – powiedział – spędziłaś mnóstwo czasu wykrzykując je do żyjących, prawda? Poczułam nudności.

Ten duch, martwe coś, obserwowało mnie przez lata? Jeśli tak wszystkie moje osobiste chwile były wystawione dla niego na pokaz. Dzielone z nim.

Doszłam do kolejnego, szybkiego wniosku: jeśli mnie obserwował, pozwolił mi błąkać się, całkowicie zagubionej i samotnej Bóg wie jak długo. Zostawił mnie bez żadnego przewodnika czy przyjaciela, bawiąc się moim upokorzeniem i samotnością. Jak okrutnym trzeba być, żeby po cichu obserwować czyjeś cierpienia przez tak długi czas?

Gniew zawrzał we mnie, świecąc jak mały węgielek w moim umyśle. Zdałam sobie sprawę, że jestem wdzięczna za implikację, że duch najwidoczniej nie widział Joshuy i mnie razem.

- Dlaczego nigdy cię nie zauważyłam? – starałam się mówić spokojnym tonem, starannie dobierając słowa, aby zdradzić jak najmniej.

- Cóż – powiedział – zawsze byłaś zbyt zagubiona, zbyt ślepa, żeby wyczuć, że tam jestem, czasami tuż obok ciebie. Poza tymi kilkoma razami, kiedy nagle znikaaś, a ja musiałem później na ciebie polować.

Odetchnęłam cicho z ulgą. Nie mógł śledzić mnie w moich koszmarach. Dziwne, że teraz zaczęłam doceniać samotność, którą mi zapewniono. Na szczęście nie zauważył zmiany w moim nastroju. Zamiast tego dalej się tłumaczył.

- Musisz wiedzieć, Amelio, to była mała niespodzianka, widzieć cię odwracającą się dzisiaj. Widzisz, wiatr, który wtedy poczułaś był... cóż, czymś w rodzaju nadprzyrodzonego ogłoszenia mojego pojawienia się. Można to nazwać moją wizytówką. – Uśmiechnął się niemal dumnie. – Zawsze byłaś zbyt nieświadoma, żeby go poczuć, tak samo jak nigdy mnie nie widziałaś. Teraz jest inaczej.

- Tak – powiedziałam stanowczo. – Jest inaczej.

Westchnął.

- Tak więc mam dylemat. – Przerwał, najwyraźniej czekając na mój udział w rozmowie. Wpatrywałam się w niego w milczeniu, nie chcąc ukazać bezpośredniej wrogości.

- Moim dylematem, Amelio, jest jedna rzecz: co ja mam teraz z tobą zrobić?

Skrzywiłam się.

- Co masz na myśli?

Ponownie westchnął, chcąc podkreślić dramatyczność tej chwili.

- Polubiłem już oglądać twoje potknięcia. Ale teraz jesteś czujna i świadoma, nie mogę już pozwalać ci się błąkać. Zasady to zasady. Więc, jak już mówiłem: co dokładnie mam z tobą zrobić?

Oparłam się silnemu pragnieniu, żeby na niego krzyknąć, że nic ze mną nie zrobi, *nigdy*. W tym momencie nie byłam nawet w najmniejszym stopniu zła, że nie wyciągnął mnie z mgły i nie wyjaśnił mi mojej natury. Nie czułam nic poza obrzydliwym posmakiem w ustach na samą myśl, że w ogóle był tak blisko mnie. Jednak zamiast wypowiedzenia tej myśli, zapytałam cicho i spokojnie:

- Jak się nazywasz?

- Za życia moje imię brzmiało Eli.

- A po śmierci? – Nie potrafiłam powstrzymać śladu pogardy w moim głosie.

- Eli jest w porządku – powiedział.

- Myślę, że mam rozwiązanie twojego dylematu, Eli.

- Cudownie. Mogłabyś się nim ze mną podzielić?

- Cóż, Eli, ja to widzę tak, że czuję teraz ten wiatr. Nie jest on jedną z rzeczy, które łatwo ukryć, prawda? - Uśmiechnęłam się słodko, starając się ciężko ukryć szyderstwo tak dobrze, jak tylko to było możliwe. – Więc przez to nie będziesz już mógł mnie obserwować niespodziewanie, prawda?

Eli zmarszczył brwi. Mogłam powiedzieć, że nie znalazł na to odpowiedzi, żadnego sposobu na obejście mojej logiki. W duchu wydałam cichy okrzyk radości. Najwyraźniej nie było sposobu, żeby nadal mógł mnie obserwować, będąc niewidzialnym.

Po długiej przerwie Eli westchnął i się uśmiechnął. Może tylko mi się wydawało, ale teraz jego uśmiech wyglądał na mniej pewny siebie niż wcześniej.

- Tak, Amelio. Masz rację. Teraz już zawsze będziesz świadoma moich wizyt.

- Świetnie. Skoro mamy to już ustalone, byłabym wdzięczna, jeśli od tej pory ograniczyłbyś te wizyty.

Przez jego twarz przeszedł cień.

- O czym ty mówisz, Amelio?

- Mówię, że wiem co możesz ze mną „zrobić”, Eli. – powiedziałam, udając promienny uśmiech. – Możesz mnie po prostu zostawić w spokoju. Na stałe.

Eli natychmiast zmarszczył brwi jeszcze bardziej, uniosł górną wargę i związał ją, dopóki nie wyglądał jak szczerzące zęby zwierzę. Już wydawało mi się, że za chwilę zacznę warczeć, kiedy odruchowo wzdrygnął się.

Najwyraźniej z mojej reakcji wywnioskował, że się boję, ponieważ jego szyderczy uśmiech poszerzył się do szerokiego uśmiechu. Przez tę zmianę wcale nie wyglądał przyjemniej.

- Jak sobie życzysz – mruknął. Po czym odwrócił się, żeby odejść, deptając igły sosny piętrzące się na ziemi. Jednak zanim przekroczył granicę lasu, zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Założył ręce na piersi, ze swoim niegodziwym uśmiechem nadal przyklejonym do twarzy.

- Nie będę cię już śledził, Amelio. To nie ma sensu, naprawdę. – Eli puścił głowę, patrząc na mnie, przez co jego oczy były niemalże niewidoczne. – Ale niedługo sama przyjdiesz mnie szukać, to mogę ci obiecać. Nie masz żadnego pojęcia, czym jesteśmy – czym *ty* jesteś. Ale ja to wiem. Więc zostawię ci ostrzeżenie. Mały fragment miejsca, gdzie naprawdę należysz. Miejsca, gdzie w końcu będziesz uwięziona, teraz, kiedy jesteś świadoma, jeśli nie będziesz chciała mojej pomocy.

Kiedy tylko Eli wypowiedział ostatnie słowa, poczułam nagły chłód, ostrzejszy i bardziej przenikliwy niż kiedykolwiek przedtem. W przeciwieństwie do wiatru ogłaszającego przybycie Eli'ego, ten nie miał ani kierunku, ani przekazu. Był wszędzie wokół mnie, jakby temperatura na brzegu rzeki nagle spadła o trzydzieści stopni. Zacerpnęłam głośno powietrza z szoku wywołanego wiatrem, a mój oddech stawał się widoczny przede mną.

Byłam tak sparaliżowana przez chłód, że prawie nie zauważyłam, kiedy moje otoczenie również zaczęło się zmieniać. Zanim zrozumiałam, co się dzieje, brzeg rzeki pochłonęła

ciemność. W ciągu kolejnych kilku sekund było tak, jakby słońce zupełnie znikło, zabierając ze sobą całe światło i kolor.

Na początku pomyślałam, że brzeg pogrzyżył się w całkowitej ciemności, ale to nie była prawda. Wszystko wokół mnie stało się zimne, a wszędzie, gdzie spojrzałam panowały głębokie szarości.

Spojrzałam z powrotem na Eli'ego, który wydawał się idealnie spokojny w tym nowym środowisku, a jego ręce wciąż były swobodnie skrzyżowane na piersi. W tej ciemności jego skóra wyglądała na jeszcze jaśniejszą, jeszcze bardziej nienaturalną.

- Co...? Gdzie....?

Moje szepty nie potrafiły ułożyć się w prawdziwe pytania. W odpowiedzi Eli tylko zachichotał ponuro.

Patrzył na mnie uważnie jeszcze chwilę, po czym jego oczy zaczęły krążyć od mojej prawej strony do lewą, jakby szukał czegoś wokół mnie. Bez namysłu odwróciłam się, żeby spojrzeć na to, cokolwiek go tak rozpraszało.

To właśnie wtedy to zobaczyłam: skupiska dziwnych, czarnych kształtów poruszających się wszędzie, gdzie tylko mogłam sięgnąć wzrokiem. Jak ogromne ćmy albo cienie, skręcające się i fruujące wszędzie, gdzie sięgałam wzrokiem. Rzucalam głową z jednej strony na drugą, próbując się im lepiej przyjrzeć. Ale za każdym razem, kiedy obracałam głowę, czarne kształty poruszały się równo ze mną, znikając z zasięgu mojego wzroku.

Zaledwie kilka minut temu płynęła za mną normalna rzeka, zielonkawo-brązowa w świetle rzucanym przez słońce. Teraz nawet przez szarawą ciemność tego miejsca, mogłam dostrzec ogromną zmianę obejmującą jej wody.

W tej wersji rzeki coś pływało, ale z pewnością coś nie tak łagodnego jak woda. Między brzegami tej nowej rzeki obok mnie, poruszała się gęsta ciecz. Wyglądała ona jak smoła, tak atramentowo czarna, że ledwie mogłam zobaczyć jakieś oznaki poruszania się na jej powierzchni.

Bądź co bądź, *poruszała się* leniwie w kierunku High Bridge. Powoli odwróciłam głowę w tamtym kierunku: ale zanim udało mi się pojąć jego nową formę, moją uwagę przykuło coś, co było pod nim – miejsce, gdzie mroczna rzeka zdawała się kierować.

Tam, pod czymś co było albo też nie było High Bridge ogromna czerń stała otworem. Jeśli to w ogóle możliwe, ta przestań była jeszcze mroczniejsza niż szary brzeg, ciemniejsza nawet niż sama rzeka. Tafla płaszczyzny ocierała się o spód mostu, a jej brzegi pięły się po wodzie i na brzeg w pobliżu. Przyglądając się temu w ciemności, nie mogłam zobaczyć jej końca: nie widziałam ani jednego punkcika światła w tej ciemności.

To był najciemniejszy punkt w tym i tak mrocznym świecie.

Wydawał się pulsować pod mostem, jakby był czymś żywym, oddychającą bestią czekającą na coś. Może na mnie.

Z wielkim trudem udało mi się oderwać wzrok od otchłani pod mostem i spojrzałam na horror dziejący się u moich stopach. Moje palce przesuwaly się z własnej woli ku rzece – ciągnięte przez niewidzialną siłę w kierunku wody. Z niemałym wysiłkiem odciągnęłam moje stopy z dala od brzegu rzeki.

Odwróciłam się z powrotem do Eli'ego, teraz naprawdę przerażona. Bardziej niż kiedykolwiek.

- Gdzie ja jestem? – Udało mi się zapytać.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? – wyszeptał. Jego oczy świeciły czymś, co mogło być tylko złośliwą radością. Machinalnie pokiwałam głową.

W odpowiedzi Eli zatoczył głową koło, wskazując nasze otoczenie.

- To jest część Pomiędzy, Amelio. To właśnie tu umarłe duchy powinny się znaleźć. Dopóki byłaś zagubiona, trzymałem cię z dala od tego miejsca. Ale teraz tylko jedna rzecz może cię uratować przed skończeniem tu na wieki.

Uniosłam jedną brew. Miałam przeczucie, że wiem czym ta „jedna rzecz” jest. Jego następne słowa potwierdziły moje podejrzenia.

- Beze mnie, Amelio – nalegał – będziesz uwięziona. Beze mnie spędzisz tu wieczność, niezdolna, aby poruszać się między światami, kiedy będziesz chciała. Wiec teraz widzisz, skąd wiem ponad wszelką wątpliwość, że będziesz mnie szukać ponownie. Jedyne, co musisz zrobić, to zawołać mnie na High Bridge... i niedługo to zrobisz.

Pomimo okropnego uczucia pełzania na każdym skrawku mojego ciała, słowa Eli’ego przepełniły mnie goryczą. Na jego sugestię, że go potrzebuję, że nie mogę uniknąć tego obrzydliwego miejsca bez niego. Nawet teraz miałam przeczucie, żeby podejrzewać jakie ma motywy i przypominać sobie, że ten zmarły młody człowiek nie przypominał mojego wyobrażenia anioła stróża.

Wyprostowałam się na tyle, ile mogłam, patrząc mu prosto w oczy.

- Zobaczymy, Eli – mruknęłam. – Zobaczymy.

Teraz to on uniósł brew. Najwyraźniej nie spodziewał się tego małego pokazu odwagi. Jednak zamiast mnie ukarać, rozbawiony skinał mi ostatni raz głową i ponownie się odwrócił, znikając w tym, co wcześniej było lasem.

Jeśli porywczy, zimny wiatr ogłaszał nadejście Eli’ego, jego przeciwieństwo świadczyło o jego odejściu. Przez sekundę czułam się jak w próżni, odessana od wszystkiego, włącznie z zimnym wiatrem. Nie czułam zupełnie nic – ani chłodu, ani wichury, nawet samej siebie.

Jeszcze nigdy podczas mojej egzystencji nie czułam się tak odrętwiała. Dławiłam się, chwytając rękami gardło.

Potem, niemal tak szybko, jak się zaczęło, wszystko ucichło.

Miękkie zielenie brzegu zamigotały i pojawiły się ponownie wokół mnie, a letnie powietrze znowu wypełniło moje płuca. Łapiąc z trudem powietrze, opadłam na kolana na trawę, podpierając się rękami.